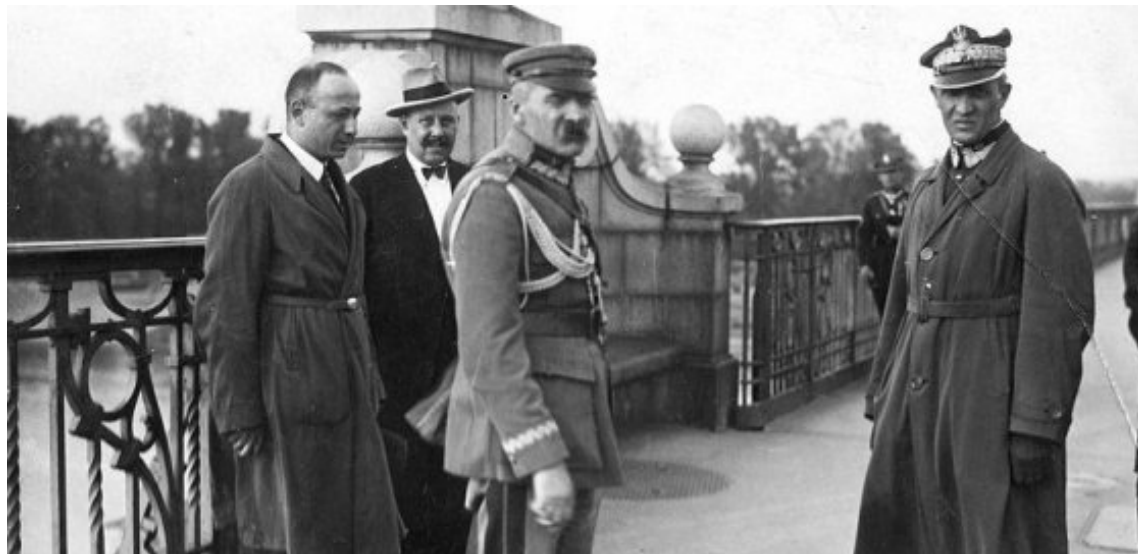


Marcin Furdyna: Wywoływanie duchów. Piłsudski

Jednym z największych osiągnięć zamachu majowego było to, że od tej pory polityka zagraniczna Polski była podporządkowana jednej myśli i jednej zasadzie



Jednym z największych osiągnięć zamachu majowego było to, że od tej pory polityka zagraniczna Polski była podporządkowana jednej myśli i jednej zasadzie

Przeglądając ostatnio codzienną prasę w jednym z saloników prasowych natrafiłem na skromną publikację pt. „Aktualność myśli Romana Dmowskiego w XXI wieku”. Jest to książeczka dość zabawna, bo próbująca roztrząsać spuściznę giganta myśli politycznej w zdaniach typu: „Roman Dmowski brałby dziś udział w manifestacjach

przeciw homoseksualistom i wykrzykiwał hasła dużo głośniej niż inni”, albo charakteryzująca jego stosunek do Rosjan przez przytoczenie zdań, jakie wypowiedział swego czasu do Zofii Lutosławskiej:

– Tego człowieka nie można przyjąć w polskim domu! Pani droga, wolę dwa razy więcej zapłacić, aby tylko tego wstydu nie miała wasza kochana rodzina.

Chodzi tu o generał-gubernatora warszawskiego Skałona, który w 1910 r. miał być gościem pisarki w związku z odwołaniem się Lutosławskiej od kary, jaką nałożyła na nią cenzura za publikację pewnej nowelki. Skałón wprowadzał stan wojenny w Kongresówce i miał krew na rękach, więc to normalne, że człowiek podobnego autoramentu musiał wzbudzać wstręt i kontakt z nim nie był czymś zaszczytnym. Ale żeby na tej podstawie wyciągać wnioski o stosunku Dmowskiego nie tyle do Rosji, co do narodu rosyjskiego?

Nie piszę tego jednak, aby znęcać się nad autorami publikacji. Podsunęła mi ona myśl, aby spróbować pochylić się nad aktualnością myśli Józefa Piłsudskiego.

Przywołuję cienie dawnych dni

Wypowiem w tym miejscu dużo sądów, które mogą wydać się anachroniczne, naciągane, na przykład kiedy będę porównywał wyprawę japońską Piłsudskiego i wyprawę gruzińską Lecha Kaczyńskiego. Zdaję sobie doskonale sprawę z różnicy czasów, warunków i okoliczności, jakie pomiędzy tymi wydarzeniami zachodzą,

ale w moim największym przekonaniu wyprawa gruzińska prezydenta Kaczyńskiego jest niczym innym jak odbłaskiem myśli Piłsudskiego w latach wojny rosyjsko-japońskiej. Podkreślam – w innym czasie i w innych zupełnie warunkach, ale przy zachowaniu tych samych pobudek.

Jednak zanim zacznę te sądy wypowiadać...

Nie tak dawno Waldemar Łysiak napisał bardzo brzydki tekst na temat endecji. Są ludzie, którzy potrafią sprowadzać pewne tezy ad absurdum, a potem bardzo dzielnie i inteligentnie ich bronić. Łysiak nie ma jednak pojęcia ani o piłsudczykach, ani o endekach.

Artykuł ten spotkał się z polemiką Rafała Ziemkiewicza, co prawda poważniejszą, ale też niestety bardzo kulawą.

Ziemkiewicz myli się na przykład, kiedy zrzuca z endecji winę za zamordowanie prezydenta Narutowicza. Prawdą jest, że Niewiadomski planował zbrodnię od dawna, ale strzały jego początkowo miały być wymierzone w Józefa Piłsudskiego. Kiedy Piłsudski stanowczo odmawia kandydowania na urząd prezydenta, Niewiadomski chowa pistolet do szuflady. Wyciąga go z powrotem w czasie brutalnych ataków na Narutowicza.

Jeżeli już koniecznie szukać analogii, to należałoby porównywać Niewiadomskiego nie z Breivikiem, ale z szaleńcem, który nie tak dawno oddawał strzały w Łodzi.

Jest jedna poważna różnica między przedwojenną i dzisiejszą endecją. O ile w dwudziestoleciu ruch narodowy nie potrafił zdobyć na trwałe władzy przy zachowaniu rządu dusz, o tyle dzisiejszy Ruch Narodowy nie posiada rządu dusz, a przez to nie zdobędzie trwałej władzy. Teza o „zagospodarowaniu analfabetów” byłaby o tyle ciekawa, o ile dzisiejsi narodowcy sami nie aspirowałiby do tego miana.

Ziemkiewicz lubi podnosić zarzut wobec piłsudczyków, że zabrakło Komendanta, czyli elementu konstytuującego ten obóz. Ale zapomina jednocześnie, że zabrakło również geniuszu Dmowskiego i międzywojennej, potężnej elity intelektualnej, która budowała wówczas obóz narodowy.

Ziemkiewicz myli się w końcu, kiedy chce ustawiać ich trumny po tej samej stronie zamiast w opozycji.

Jeżeli otwieram tutaj trumnę Piłsudskiego, to czuję rozkładającego się trupa, rozumiem, że człowiek ten swoimi działaniami oraz swoją myślą należał do innej epoki i odnosząc je do czasów współczesnych zwłoki te może nawet nieco profanuję. Ale robię to z przeświadczeniem, że ta czy inna ponadczasowa myśl, odpowiednio przekształcona i dostosowana do obecnych warunków może być myślą płodną, żywą, inspirującą.

Przedwczoraj i wczoraj

„Robotnik Polski w Walce” w swym pierwszym numerze z 1982 r. pisał:
„Mamy na czym się oprzeć: pozostały pisma i mowy Piłsudskiego, mamy potężny dorobek myśli i wskazówek Jana Pawła II, mamy treściwe i jasne wskazówki Moczulskiego, który głęboko przemyślawszy genialną spuściznę Komendanta, potrafił zastosować jego myśl polityczną do zmienionych warunków współczesności”.

Zaraz po przewrocie majowym Piłsudski wypowiada słowa: „... I mogą mnie ludzie krytykować, że zrobiłem coś podobnego do zamachu stanu i coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji”.

W 1979 r. Leszek Moczulski publikuje pracę pt. „Rewolucja bez rewolucji” – de facto credo powstającej wówczas Konfederacji Polski Niepodległej. Moczulski przykroił program Piłsudskiego do swoich czasów, rezygnując w zasadzie z prób wyprowadzenia Polski z sowieckiej orbity drogą walki zbrojnej, bez stosowania przemocy. Dochodzenie do niepodległości miało odbyć się drogą walki cywilnej.

Kiedy mówimy o recepcji myśli Piłsudskiego w odniesieniu do Moczulskiego, to myślimy o Piłsudskim przedwojennym i wojennym, który za zadanie stawia sobie odrodzenie niepodległego państwa polskiego.

Moczulski jednak nigdy do władzy nie doszedł, programu swego nie mógł realizować w warunkach pokojowych.

– Pana największe marzenie? – zapytano go w jednym z wywiadów.

– Przede wszystkim jest nim Międzymorze jako wielka, braterska wspólnota narodów, zdolnych do samodzielnego kształtowania swego losu.

Być może nie do końca zgodnie z wyobrażeniem Moczulskiego, ale w pewnym stopniu politykę zagraniczną będącą odbłaskiem myśli Piłsudskiego prowadził nie tak dawno pewien polityk polski.

Za wschodnią granicą

Punkt trzeci art. 133 Konstytucji brzmi następująco: „Prezydent Rzeczypospolitej w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem”.

Rozbijmy to zdanie i przyjrzyjmy się najpierw programowi Lecha Kaczyńskiego, realizowanemu w czasie jego prezydentury i spróbujmy odnieść go do wizji piłsudczykowskiej.

W 1904 r. wybuchła wojna rosyjsko-japońska. Piłsudski udaje się wtedy przez Amerykę do Japonii i składa rządowi japońskiemu memoriał na temat stosunków panujących w Rosji. Sugeruje w nim udzielenie Polakom pomocy finansowej i przedstawia wizję rozcięcia Rosji po szwach narodowościowych.

W pierwszych latach po wielkiej wojnie ważą się losy programu federacyjnego Piłsudskiego, mającego na celu stworzenie za wschodnią granicą niepodległych państw, które byłyby ukierunkowane na ścisłą współpracę z Polską.

Po pierwsze: jeżeli weźmiemy poprawkę na to, że tak jak przed stoma laty Piłsudski stał wobec państwa rosyjskiego, tak Lech Kaczyński stał wobec obszaru postsowieckiego, to w jego działaniach na przedłużonym odcinku południowo-wschodnim polityki zagranicznej widać podobny cel, jaki stawiał sobie Piłsudski w 1904 r. W momencie, kiedy państwa byłego Związku Sowieckiego pogłębiają integrację, Kaczyński proponował właśnie rozcięcie tego terytorium. Wygranie Azerbejdżanu, próby kazachskie czy w końcu wyprawa do Gruzji podczas wojny rosyjsko-gruzińskiej były środkami do osiągnięcia tego celu.

Różnica między tą analogią polega też na tym, że Piłsudski chciał dopiero Rosję rozbić, a Kaczyński starał się rozbić Rosję pogłębiać. Natomiast myśl jest zupełnie ta sama.

Po drugie: przywołałem niezrealizowany program federacyjny, po drugiej wojnie na nowo zinterpretowany przez Mieroszewskiego i Giedroycia, a następnie kontynuowany przez Kaczyńskiego. Program, który dziś publicyści narodowi z wysokości swego autorytetu nazywają naiwnym, bo... wycisza on winę Ukraińców za rzeź wołyńską.

Oto wielka szkoła politycznego myślenia! Gdyby warszawski pomnik Dmowskiego dziś ożył, to najpewniej załapałby się za głowę.

W przypadku polityki Kaczyńskiego względem wschodnich sąsiadów biorę tu pod uwagę Ukrainę i Litwę (z przedłużeniem na Łotwę i Estonię). W sprawy białoruskie Kaczyński nie angażował się niemal w ogóle.

Polityka w stosunku do Ukrainy, jaką później kontynuował Kaczyński, była zapoczątkowana przez prezydenta Kwaśniewskiego aktywnością w czasie tzw. „pomarańczowej rewolucji”. Kierunek ten można uważać za względnie najbardziej konsekwentny w polityce ostatnich rządów i prezydentów.

Program względem Ukrainy opiera się na zrozumieniu jej geopolitycznego znaczenia i ambitnym określeniu pozycji Polski w Europie. Słyszałem ostatnio z pewnych uczonych ust deklarację, że Polska jest dziś mocarstwem regionalnym. Jest to oczywista bzdura – Polska ma potencjał stania się mocarstwem regionalnym, ale nie stanie się nim w jakikolwiek inny sposób jak w oparciu o Ukrainę. Rachunek jest prosty: kto ma dziś po swojej stronie Ukrainę, ten rządzi tą częścią świata

W czasie swej prezydentury Kaczyński dziewięciokrotnie udawał się na Ukrainę – częściej jeździł tylko na Litwę.

W przeciwieństwie do ministra Sikorskiego i dzisiejszych narodowców Kaczyński doskonale pojmował wagę stosunków polsko-litewskich, sprowadzanych dziś niesłusznie jedynie do położenia polskiej mniejszości na Litwie. Kaczyński na plan pierwszy wysuwa kwestię porozumienia polsko-litewskiego, które można by skonsumować w relacjach wewnątrz Unii Europejskiej i względem Rosji. Rozumie jedną podstawową zasadę – polityka polska względem Litwy nie może być prowadzona z pozycji silniejszego gracza, który stara się tę siłę manifestować. Jeżeli ktoś stawia zarzut, że nie udało mu się rozwiązać problemu polskiej mniejszości na Litwie, to podkreślam, że obecny rząd prowadząc politykę zupełnie odmienną przyczynia się tylko do pogorszenia relacji polsko-litewskich, a w żadnym wypadku do poprawy sytuacji mniejszości polskiej.

Narodowcy bez przerwy mówią o wielkiej Polsce, z czego się zawsze podśmiewuję, bo prawdziwy program mocarstwowy leżał i leży poza obszarem myśli narodoowej.

Pałac Brühla a Al. Szucha

Mówiłem o programie, który nie został zrealizowany. Teraz będę zajmował się rzeczywistą polityką zagraniczną, jaką prowadzi i chce prowadzić obecny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

Papier staje się w tym miejscu czarny, litery – białe.

W marcu bieżącego roku Sikorski wygłosił w Sejmie exposé, w którym przedstawił dotychczasowe osiągnięcia rządu na polu polityki zagranicznej oraz plany na najbliższą przyszłość. Umieścił on interes Polski jednoznacznie na Zachodzie, wygłaszając faktyczne désintéressement w kwestiach wschodnich. Przeciwwstawił wizję „polityki piastowskiej” mirażom „polityki jagiellońskiej”.

Sikorski mówi o wartościach demokratycznych i prawach człowieka, uzależnia polską politykę od ich zaakceptowania bądź odrzucenia przez państwa wschodnie.

Kaczyński twierdził: „Ja nie wychodzę z założenia, że Bóg stworzył mnie po to, abym ratował demokrację w Azerbejdżanie”.

Sikorski przyjmuje program pozornie maksymalistyczny, chcąc uczestniczyć w koncercie mocarstw europejskich.

Kaczyński: „Pozycja najsłabszego wśród silnych nie jest atrakcyjna, choć oczywiście stwarza bardzo miłe pozory: spotkania w gronie wybranych, wszyscy po imieniu, klepanie po plecach”.

Pewien książę w okresie międzywojennym przechadzając się przez Pałac Brühlowski, czyli budynek ówczesnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, miał wykrzyknąć: „Co za burdel, tyle luster!” Mam wrażenie, w ten sam sposób można by dziś powiedzieć o budynku przy Al. Szucha – niekoniecznie ze względu na wystrój wnętrza.

Nie mogę powstrzymać się od porównania Radosława Sikorskiego z premierem polskiego rządu na uchodźctwie gen. Władysławem Sikorskim – obydwaj tak samo bezinteresownie zapatrzeni w swych silniejszych sojuszników, obydwaj tak samo przekonani o własnej wartości.

Trzeba powiedzieć wprost: program Partnerstwa Wschodniej jest fikcją, w żadnym wypadku nie jest ukierunkowana na wzmocnienie pozycji Polski na świecie ani w ramach struktur Unii Europejskiej. Polityka ministra Sikorskiego w czasie prezydentury Lecha Kaczyńskiego była polityką podkładania nóg i zagłuszania wspólnego głosu Polski na arenie międzynarodowej.

Było to najgorsze wydanie polityki, jakie można sobie wyobrazić w warunkach kohabitacji.

Jednym z największych osiągnięć zamachu majowego było to, że od tej pory polityka zagraniczna Polski była podporządkowana jednej myśli i jednej zasadzie, której następnie Józef Beck nie potrafił zrozumieć i kontynuować. Stworzenie ciągłości polityki zagranicznej było wielkim sukcesem Piłsudskiego, niezabezpieczenie tej ciągłości po swojej śmierci – jednym z największych jego grzechów.

Być może najważniejszym zadaniem na dzień dzisiejszy jest wyłącznie obszaru polityki zagranicznej Polski z warunków gry partyjnej. Rozumiał to doskonale Lech Kaczyński, nie był i nie jest w stanie tego pojąć minister Sikorski.

Puste tabernakulum

Konserwatyści wchodzili w 1918 r. do odrodzonej Rzeczypospolitej z niewygodnym bagażem lojalizmu, bez możliwości odgrywania najmniejszej roli politycznej w nowych warunkach demokratycznych.

Kiedy Piłsudski bierze w 1926 r. pełnię władzy przy poparciu środowisk lewicowych, a przez bardzo krótki czas nawet komunistycznych, środowiska konserwatywne opowiadają się za Piłsudskim, nie pozwalają skonsumować zamachu przez lewicę i wykorzystują szansę wyjścia z politycznego niebytu.

Franciszek hr. Potocki zauważa wtedy: „Tabernakulum nasze jest próżne. Nie mamy w nim niczego do przekazania społeczeństwu. I dlatego też współpraca z rządem Piłsudskiego jest jedyną taktyką, jaka nam pozostaje”.

W 1989 r. konserwatyści nie mieli już jakiegokolwiek bagażu, prócz wizji świata, którą oferowali, a którą nikt za bardzo nie był i nie jest zainteresowany.

Jeżeli Przemysław Wipler odchodzi z hukiem z partii, która za chwilę będzie miała szansę przejąć stery tego państwa i zakłada nowe ugrupowanie to znaczy, że z powyższej prawdy nie zrozumiał nic. Konserwatyści mający ambicję odgrywać dziś jakąkolwiek rolę polityczną chcąc nie chcąc muszą związać się nazwiskiem, które coś znaczy.

Przy całym szacunku dla posła Wiplera – jego nazwisko nie znaczy nic, a jego ostatnie posunięcie jest wielkim błędem taktycznym, który decyduje o wygraniu lub przegraniu bitwy.

Mówię tu cały czas o metodzie i tylko o metodzie.

Marcin Furdyna

Tekst opublikowany w 2013 roku.